

Bronisław Wildstein: Polska, antysemityzm, lewica

Głównym wrogiem lewicowych środowisk jest, wyrastająca z katolicyzmu, tradycyjna kultura. Polska stanowi wręcz jej emanację



Głównym wrogiem lewicowych środowisk jest, wyrastająca z katolicyzmu, tradycyjna kultura. Polska stanowi wręcz jej emanację

„Teologia Polityczna” organizuje debatę, na którą zaprasza Alaina Finkielkrauta, francuskiego filozofa, potrafiącego płynąć pod prąd dominującym w jego kraju opiniom. Dyskutować mamy nad kwestią, czy współczesna polityka Francji może być wzorem dla Polski. Finkielkraut oświadcza, że problemem dla zachodnich intelektualistów

jest polski antysemityzm. Wydawało się, że Polska przewyciężyła go, ale zarówno ostatnie prace Jana Tomasz Grośa jak i, zwłaszcza, polskie na nie reakcje, mówią coś wręcz przeciwnego. Finkelkraut jest na bieżąco tych spraw dzięki relacjom swoich przyjaciół z „Gazety Wyborczej”. Na argument, że oskarżenie o antysemityzm staje się dziś bronią ideologiczną i, w tym kontekście, być może, należy analizować obecne kampanie „Wyborczej”, a postawy Polaków wtedy i dziś odbiegają od europejskiego stereotypu – oburza się. Stwierdza, że jego rodzice, którzy w czasie wojny uciekli z Polski uważają ją za „ziemię przeklętą” i uznawali, iż to, co złego spotyka Polaków, to zasłużona kara za ich zachowanie w trakcie holocaustu. On przewyciężył tę postawę angażując się w pomoc dla Solidarności oraz teraz, przyjeżdżając do tego kraju i podejmując z nami rozmowę. Nie można jednak oczekiwać od niego, aby zanegował pamięć swoich rodziców. Straszny polski antysemityzm jest faktem, potwierdza to choćby rok 1968 i odwołanie się doń jako ostatniej legitymacji ze strony komunistycznej władzy. Brak rozliczenia go w sposób zrozumiały naznacza postrzeganie Polaków we współczesnej Europie.

W ten sposób konferencja, której tematem miała być Polska i Francja we współczesnej Europie przekształciła się w debatę o polskim antysemityzmie. Jest ona jednak dobrym punktem wyjścia do zastanowienia się zarówno nad samym problemem jak i jego znaczeniem we współczesnej europejskiej polityce. Jego źródłem jest skrajna, trudna do wyobrażenia trauma, jaką wynieśli Żydzi, którzy w Polsce przeżyli holocaust.

Nieludzki świat

Koszmar holocaustu jest doświadczeniem jedynym w swoim rodzaju. Ci, którzy uratowali się z niego, to skazańcy wymykający się egzekucji. Ocaleli cudem, latami zagrożeni śmiercią, ukrywali się asystując przy

masakrze swoich najbliższych, całego narodu. Niezwykle trudno wyobrazić sobie takie przeżycia, ale powinniśmy starać się to zrobić, również po to, aby zrozumieć stan ducha ludzi, którzy ocalili z koszmaru dziejącego się głównie na terenie Polski. Nie z winy Polaków, ale zrzędzeniem losu ich kraj musi być utożsamiany przez Żydów z miejscem ich kaźni.

Pomoc Żydom groziła nie tylko śmiercią własną, ale rodziny i sąsiadów. Tym bardziej heroiczne wydają się wcale nierzadkie jej akty i tym mniej dziwić powinna zdecydowanie szersza odmowa podejmowania takiego ryzyka.

Mimo to miejscowa ludność będzie pamiętana przez Żydów jako zagrożenie. Jeśli nawet szmalcowników, wydających ich, było niewiele, to pojawiali się, a więc naturalnym odruchem prześladowanych był lęk przed śmiertelnym niebezpieczeństwem czyhającym na nich między Polakami. Czas nieludzki – a jest to tylko kolejne doświadczenie potwierdzające prawdę o naturze człowieka – gdy wszelkie zasady zostają złamane, a zbrodnia staje się powszednia, deprawuje zbiorowość. Dużo łatwiej wówczas przekroczyć normy i tabu, dużo łatwiej w obronie swojego interesu popełnić rzeczy straszne. Tradycyjne przestępstwa, jak przywłaszczenie cudzego mienia, czy gwałt wobec innych, przestają mieć znaczenie, jakie nadawaliśmy mu w czasach pokoju. Zwłaszcza jeśli, wprawdzie nie w takim stopniu jak Żydzi, ale Polacy zagrożeni byli również. Musieli walczyć o codzienne przetrwanie, a życie ich także było niepewne.

Oficjalne traktowanie określonej grupy jako podludzi przez państwo, nawet jeśli jest ono w rękach najeźdźców, powoduje, że ogół mieszkańców zaczyna przyzwyczajać się do takiego stanu rzeczy. Jeśli pewna zbiorowość prawnie uznawana jest za pośledni gatunek, a nawet gorzej, zagrożenie rodzaju ludzkiego, to ułatwia to świadkom

poradzenie sobie z poczuciem winy, które wywołuje własna bierność wobec skrajnej niesprawiedliwości i krzywdy. Pozwala przystosować się do nieludzkich czasów.

Obcy, w tym wypadku Niemcy, naznaczając Żydów, zaspokajają potrzebę kozła ofiarnego. Wszystko to pozwalało nie tylko znosić koszmar dziejącego się na oczach miejscowej ludności holocaustu, ale niekiedy korzystać ze stwarzanych przezeń okoliczności np. przywłaszczając sobie bezpańskie, bo pożydowskie (właściciele, jeśli nie zostali zabici, to właściwie byli skazani na śmierć, zniknęli) mienie. Zaczyna szerzyć się bandytyzm, którego główną ofiarę stanowią Żydzi. Są bezbronni, nie mają się do kogo odwołać, a oprawcy przyzwyczaili się do ich dehumanizacji.

Z tych powodów wśród Polaków, w czasie holocaustu częściej niż w czasach pokoju trafiały się postawy naganne, przestępcze, a nawet zbrodnicze wobec Żydów. Nie miały one nic wspólnego z narodową specyfiką, a odzwierciedlały uniwersalne mechanizmy ludzkich zachowań. Nie mamy ciągle pełnych, wiarygodnych danych na ten temat, ale nawet te, którymi dysponujemy potwierdzają ponurą prawidłowość, której innymi obliczami był wzrost pospolitej przestępczości w trakcie wojny i bezpośrednio po niej, większa skala obojętności na zło itp. Tylko że wszystkie dane, które posiadamy z krajów o podobnych w czasie wojny losach pokazują identyczny stan rzeczy.

Z drugiej jednak strony nie została opisana skala pomocy, którą Polacy nieśli Żydom, a która wydaje się imponująca. Zwłaszcza, jeśli przypomnimy warunki, w jakich się to działo i cenę, którą płacili za to wielokrotnie nieznani do dziś, anonimowi bohaterowie. Liczba polskich drzewek symbolizujących pomoc dla Żydów w Yad Vaszem jest imponująca i stanowi zdecydowanie największą narodową sekcję.

Można uznawać, że ponieważ holocaust dokonywany był głównie w Polsce, to i statystycznie liczba ludzi zaangażowanych w pomoc Żydom winna być większa, ale i tak zjawisko to przeciwstawia się stereotypowi polskiego, zbrodniczego, wojennego antysemityzmu.

To bardzo znamienne, że w kulturze masowej utrwalona została dzięki filmowi Stevena Spielberga postać dobrego Niemca, Oscara Schindlera, podczas gdy Polacy występujący w kontekście holocaustu w świadomości międzynarodowej malowani są zdecydowanie czarną barwą.

Irena Sendlerowa, która ocalała dwukrotnie więcej Żydów niż Schindler, nawet dla świadomości polskiej odkryta została niewiele przed śmiercią w połowie lat 2000. A podobnych bohaterów było w Polsce więcej. Fabularyzowany dokument Macieja Pawlickiego i Arkadiusza Gołębiewskiego Rodzina Kowalskich pokazuje inny wymiar tej pomocy: wymordowanie przez Niemców za ukrywanie Żydów całej wielkiej rodziny chłopskiej i jej sąsiadów. I znowu ani ten film, ani serial Sprawiedliwi emitowany w TVP pokazujący działanie niosącej pomoc Żydom organizacji „Żegota”, nie został nigdy szerzej spopularyzowany. Ba, w dominujących w Polsce mediach krytykowane były one za, podobno, laurkową jednostronność. Zupełnie inne było podejście do „demaskatorskich” prac czy utworów pokazujących współpracę Polaków przy holocauście.

Prawdziwa trauma

Apelując o zrozumienie zachowań Polaków w kontekście czasów nieludzkich powinniśmy w ten sam sposób podejść do postaw i pamięci Żydów. Polacy zapamiętani zostali przez nich jako zagrożenie. Do skrajnie złych warunków człowiek nie potrafi się przyzwyczać, koszarne doświadczenia odciskają się w pamięci silniej niż

pozytywne. Ofiary holocaustu łatwiej będą pamiętać śmiertelne zagrożenie niż pomoc, która je od niego tylko na moment odsuwała. Mocniej w pamięci odcisnie się szmalcownik, który wydał ich najbliższych i groził im śmiercią niż nieznany, niosący ratunek człowiek. Polujący na nich polscy bandyci pozostaną w ich pamięci jako przedstawiciele narodu. W sytuacji śmiertelnego strachu nie będą rozważali a potem pamiętali powodów, dla których inni nie śpieszyli im z pomocą. Zapamiętają przerażającą obojętność wobec największej krzywdy.

Zwłaszcza, że pozycja Żydów wyróżniała się zasadniczo pomimo wszystkich niebezpieczeństw i dolegliwości, jakie niosła dla innych mieszkańców Polski okupacja.

Żydzi skazani byli na śmierć, Polakom ona groziła. Ta egzystencjalna odmiennność statusów stworzy między Polakami i Żydami przepaść.

Im bardziej sytuacja skrajna i im bardziej różny jest w niej status odmiennych zbiorowości, tym bardziej widzą one w innych wyłącznie ich reprezentantów. Tym łatwiej odruchowo stosować kategorie odpowiedzialności zbiorowej. Dla Polaków, tak jak dla każdej innej nacji, odczłowieczonych i upokarzanych Żydów łatwiej było postrzegać jako reprezentantów określonego narodu, niż osoby ludzkie. Żydzi nie wyróżniali groźących im postaci, były one dla nich emanacją świata, który niósł śmiertelne zagrożenie.

Czy możemy się dziwić, że Polska, gdzie wymordowano ich najbliższych i przeżyli swoje najgorsze doświadczenia jawi się im jako „ziemia przeklęta”?

Niemcy dla swoich żydowskich ofiar zatracali cechy ludzkie. Byli zdepersonalizowanymi obcymi, przybywającym niejako z innego wymiaru narzędziem zła. Polacy to byli sąsiedzi, mieszkańcy tej samej ziemi, którzy „pozwalali” na krzyczącą do nieba niesprawiedliwość i

zbrodnię. To, że pamięć ta jest nieracjonalna, to oczywiste. Pamięć w ogóle z trudem poddaje się racjonalizacji, wspomnień koszmaru nie sposób wtłoczyć w racjonalne ramy.

Pamięć pokoleń

Jeśli jednak powinniśmy zrozumieć postawę Żydów ocalałych w Polsce z holocaustu, nie znaczy to, że musimy zaakceptować płynące z niej niesprawiedliwe uogólnienia. Zwłaszcza jeśli powtarzają je pokolenia następne, które powinny nie tylko pamiętać, ale i rozumieć. Jeśli rodzice Finkelkrauta mają prawo do swoich nieracjonalnych odruchów – i to też w określonych granicach – to on nie ma już dla nich uzasadnień. Jako filozof powinien je poddać racjonalnej krytyce.

Zaznaczam, że nie chodzi mi o wiwisekcję konkretnej postaci, francuskiego filozofa, Alaina Finkelkrauta, ale postawę intelektualistów zachodnich – a w ślad za nimi całej Europy – których Finkelkraut jest doskonałą egzemplifikacją. Tym bardziej, że wprowadzie w swoich filozoficznych analizach potrafi on nie tylko przeciwstawiać się obiegowym stereotypom intelektualnym, a nawet demaskować je i analizować, to w kwestii żydowsko-polskiej jest ich wiernym wyznawcą.

Wyobrażenie „ziemi przeklętej”, którą jest Polska, ale już nie Niemcy, jest nie tylko nieracjonalne, ale i skrajnie krzywdzące. Tak jak krzywdzący jest w ogóle obraz Polski w II wojnie światowej w zagranicznych opiniach. Polacy nie zachowywali się nieracjonalnie w trakcie kampanii wrześniowej, o czym świadczy fakt, że bronili się dwa razy dłużej niż Francja, a załamali dopiero po agresji sowieckiej. Również pod okupacją niemiecką nasz kraj nie był wyłącznie czarną dziurą, w której szalały uwolnione żywioły, ale krajem o unikalnej strukturze państwa podziemnego, które działało w porozumieniu z

rządem emigracyjnym, przecząc kolejnemu stereotypowi na temat polskiej indolencji organizacyjnej. I to polskie państwo podziemne, które było kontynuacją państwa niepodległego, a więc oficjalną reprezentacją polskiej wspólnoty, usiłowało Żydów bronić, a karą, którą nakładało na szmalcowników, była śmierć. I pomimo ogromnego ryzyka z tym związanego bywała ona wykonywana.

To w odniesieniu do tego państwa możemy mówić o odpowiedzialności narodowej.

Oczywiście, zawsze można krytykować niewystarczające zaangażowanie Polski podziemnej, a zwłaszcza AK, w pomoc Żydom. Te zarzuty powinno odnieść się do ówczesnej sytuacji. Przypomnieć, w jakich warunkach i przy jakim zagrożeniu musiała być organizowana pomoc Żydom, a także wskazać, że głównym zadaniem polskiego podziemia była walka z okupantem, co, niestety, nie zawsze znaczyło ochronę ludności. Należy postawę AK zestawić z relatywną obojętnością aliantów informowanych o holocauście. To na tym tle trzeba zobaczyć działania takie jak organizację „Żegota” czyli Radę Pomocy Żydom przy Delegacie Rządu RP na Kraj, której skala pomocy dla ludności żydowskiej była jak na ówczesne możliwości wielka, m.in. wydała ona 60 tys. fałszywych dokumentów zaświadczających aryjskie pochodzenie.

Ponurym paradoksem wydaje się więc stan rzeczy, gdy mieszkaniec kraju, którego oficjalna i popierana przez większość Francuzów reprezentacja, jaką było państwo Vichy, deportowała swoich obywateli żydowskiego pochodzenia do obozów śmierci, oskarża o niewłaściwe zachowanie Polaków, którzy za wydawanie Żydów karali śmiercią.

Źródłem tej sytuacji jest brak wiedzy na temat historii, który jest w dużej części wynikiem ideologicznej manipulacji.

Głównym wrogiem lewicowych środowisk jest, wyrastająca z katolicyzmu, tradycyjna kultura. Polska stanowi wręcz jej emanację. Podstawowym oskarżeniem w nią wymierzonym jest, podobno charakterystyczne dla niej, zamknięcie, nienawiść do innego, obcego. Taką postacią w najnowszej historii Europy jest głównie Żyd. Stąd zresztą absurdalne oskarżenia katolicyzmu o stworzenie fundamentu nazistowskiego antysemityzmu, gdy tymczasem antysemityzm ów miał bardzo nowoczesny, swoiście „postępowy” rodowód, co pokazywała przekonująco choćby Hannah Arendt, a nazizm był ideologią antyreligijną.

Okazuje się, że lewicowi ideologowie potrafią zręcznie manipulować żydowską traumą holocaustu i mitem polskiej ziemi przeklętej.

Na fałszywy obraz polskiej historii II wojny światowej złożyło się także wiele innych czynników. Komunistyczne rządy ani chciały, ani mogły zabiegać o reputację naszego kraju. Na rękę im, a zwłaszcza ich moskiewskim mocodawcom, był czarny obraz polskiej przeszłości, której kres położyć miała komunistyczna rewolucja.

Obraz kraju to nie tylko, a raczej nie przede wszystkim programy szkolne i oficjalna polityka. Współcześnie to głównie kultura masowa. Po upadku komunizmu postawa nowych ośrodków opiniotwórczych w dużej mierze stanowiących przedłużenie komunistycznych elit, nie uległa istotnej zmianie poza sferą rytualnych deklaracji. Pierwszą znaczącą inicjatywą zmieniającą podejście do najnowszej historii było Muzeum Powstania Warszawskiego, które na zbudowanie czekać musiało do przejęcia prezydentury Warszawy przez Lecha Kaczyńskiego i 60-tą rocznicę wydarzenia w 2004 roku. A i tak spotkało się i spotyka z atakiem znaczących środowisk, choćby „Gazety Wyborczej”.

Polska wiecznie antysemicka

Elementarne fakty historyczne przeczą wyobrażeniu o szczególnym polskim antysemityzmie. Masowa imigracja Żydów do Polski pod koniec Średniowiecza i w czasie Renesansu dowodzą czegoś wręcz przeciwnego. Żydzi stanowili wówczas rodzaj stanu z osobnymi przywilejami oraz odmiennym sposobem życia i znajdowali się we względnie dobrej, na tle ówczesnej Europy, sytuacji. Zresztą, Rzeczpospolita Obojga Narodów czyli pierwsza polska republika, była krajem wyjątkowo w tamtych czasach tolerancyjnym, jak mawiano słusznie: krajem bez stosów. Tradycja Polski katolickiej była radykalnie odmienna niż obiegowa europejska opinia na jej temat.

W Polsce międzywojennej antysemityzm rzeczywiście narasta, ale płynie on na fali „nowoczesnego”, biologicznego nacjonalizmu, a jego wrogiem jest kluczowa dla tej epoki postać, marszałek Józef Piłsudski. Antysemickie postawy nie będą miały przeniesienia na czas okupacji, a wiele prezentujących je postaci, jak np. pisarka Zofia Kossak-Szczucka angażuje się w pomoc Żydom.

To bardzo znamienne, że zwolennicy rewelacji Grossa i on sam usiłują przeprowadzić linię ciągłą pomiędzy antysemityzmem przedwojennym a polską „współpracą” przy holocauście. Dowodów na to nie ma żadnych, a poszlaka, jaką ma być przedwojenny wpływ endecji na terenach Jedwabnego wydaje się nie tylko wątpliwa, ale i nieprawdziwa. Akurat w przedwojennych wyborach na tamtych terenach dominowała formacja piłsudczyków.

Owszem, przed wojną antysemityzm w Polsce narastał, tak jak w całej Europie. W Polsce miał on dodatkowo aspekt cywilizacyjnej konfrontacji, którą dostrzegali również Żydzi. Polska była największym skupiskiem Żydów w Europie, stanowili oni 10% całej populacji, a większość z nich nie była zasymilowana. Ta sytuacja musiała prowadzić

do konfliktów, a konstatacja taka nie służy usprawiedliwieniu antysemityzmu w Polsce, ale pokazania jego historycznej banalności i nieuniknioności. W żadnym wypadku nie ma powodu klajstrować tego poważnego zjawiska, ale jest to już zamknięta historia. Tak jak w innych europejskich krajach, gdzie antysemityzm występował w ostrzejszej formie. Współczesna fala antysemityzmu ma głównie antyizraelski, lewicowy rodowód.

Przy tak nikłym zainteresowaniu polską historią i tak wielkiej ignorancji w tej mierze międzynarodowe zainteresowanie „rozrachunkowymi” książkami Grossa może zaskakiwać. Dość łatwo jednak zrozumieć je, jeśli zauważymy, jak są one wykorzystywane i jakiego ideologicznego paliwa mogą dostarczać. Opisana na wstępie sytuacja jest tego dobrym przykładem.

W tym kontekście także trudno się dziwić, że szeroko rozumiane środowisko „Gazety Wyborczej”, a może szerzej, establishment III RP, który nawołuje, aby przestać zajmować się ciągle skąpo opisanymi dziejami PRL i apeluje, aby: „przeszłość zostawić historykom”, książki Grossa chce wpisać do kanonu naszej obowiązkowej wiedzy i na ich podstawie dokonuje aktu zbiorowej pokuty.

Brak znajomości historii pozwala tworzyć z niej ideologiczne wykładnie pod z góry założoną tezę. Tylko, że takie rozliczenie jest wyłącznie swoją karykaturą.

Miłosz, Borowski, Gross

Rządzący PRL-em woleli nie tykać bliższej historii, która niosła dla nich niebezpieczny potencjał. Jej problemy obecne były jednak w wybitnych dziełach literackich, m.in. w poezji Czesława Miłosza. Albowiem rozliczenia z przeszłością nie tylko mają sens, ale są niezbędne dla

funkcjonowania wspólnoty, która musi być zakorzeniona w historii; wyrasta z przeszłości i nakierowana jest na przyszłość.

Miłosz uniwersalizuje doświadczenie polskie. W wierszu Campo di Fiori domniemaną obojętność ludu Warszawy na tragedię konającego getta zestawia z obojętnością mieszkańców Rzymu na akt spalenia Giordano Bruno. Mniejsza o to, na ile obraz ludzi bawiących się wówczas na karuzeli pod murem płonącego getta był precyzyjny. Sam Miłosz twierdził, że była to dla niego tylko metafora. Rzeczywiście, Niemcy postawili tam karuzelę. Trudno uwierzyć, aby nie znaleźli się ludzie, którzy by z niej nie skorzystali, tak jak trudno sobie wyobrazić zbiorowość bez patologii.

Uniwersalny również ma charakter rozliczenia w wierszu Biedny chrześcijanin patrzy na getto. Jego podmiot staje się „pomocnikiem śmierci” z powodu samej przynależności do „nieobrzezanych”.

Ten metafizyczny wymiar odpowiedzialności można ukonkretnić tak, jak to robił choćby Tadeusz Borowski. W jego twórczości skonfrontowani jesteśmy ze złem dziejącym się w naszej przytomności, a któremu nie potrafiliśmy, a częściej, nie próbowaliśmy nawet przeciwdziałać. Tej moralnej odpowiedzialności nie zdejmujemy z nas straszna cena, jaką przyszłoby płacić za zaangażowanie. Brak reakcji czyni z nas współników i upadła. To współuczestnictwo najbardziej jaskrawo pokazuje figura Tadka, podmiotu opowiadań Borowskiego, człowieka zaadaptowanego do warunków obozu koncentracyjnego, szarego pracownika przemysłu zbrodni. Fakt, że pisarz każe czytelnikowi kojarzyć go ze sobą samym ma fundamentalne znaczenie. Zachowane świadectwa sugerują raczej, że Borowski pozytywnie różnił się od swojego „alter ego”, ale poprzez przyczernienie swojej domniemanej postaci pisarz akcentuje odpowiedzialność tych, którzy przeżyli.

Życie w odczłowieczonym świecie nie mogło nie pozostawiać trwałych odkształceń na psychice. Najbardziej wstrząsający jest fakt upodabniania się postaw ofiar do postaw oprawców. Te zjawiska analizował inny więzień obozu koncentracyjnego, Bruno Bettelheim.

Rozliczenia z czasem nieludzkim są człowiekowi potrzebne, również dlatego, że dostarczają mu istotnej wiedzy o jego naturze, a więc, choćby w teorii, powinny dawać drogowskazy na przyszłość. Tym bardziej powinniśmy o tym pamiętać przenosząc je na poziom konkretnej historii.

Konsekwencje powyższych prawidłowości nie ominęły Polaków, zwłaszcza, że okupacja w Polsce, poza terenami Związku Sowieckiego, była najokrutniejsza. Wynikały z tego konkretne fakty, którym należy stawić czoła. Należy opisać działania band wiejskich, które uformowały się w trakcie wojny i specjalizowały w napadach na Żydów; trzeba udokumentować skalę grabieży pożydowskich dóbr, co było tym bardziej banalne, że w sytuacji wojny wykorzystywanie własności osoby nieżyjącej wydawało się wręcz oczywiste; powinniśmy zanalizować skalę antysemityzmu wywołanego bezrefleksyjnym spostrzeżeniem, że wśród komunistów znajdowało się wiele osób żydowskiego pochodzenia, antysemityzmu, który miewał również skrajną postać. Po prostu, bez taryfy ulgowej musimy opisać całość wojny.

Tylko że książki Grossa, anonsowane jako pierwsza bezkompromisowa próba zmierzenia się z ciemnymi kartami polskiej historii w czasie okupacji, oddalają nas jedynie od uczciwego stawienia im czoła. Są to teksty stroniczne, ideologiczne, pisane pod z góry założoną tezę, pomijające niezgodne z nią fakty i kontekst, który musiałby radykalnie zmienić ich wymowę.

Nie będę zajmował się ogromną liczbą błędów faktograficznych, które

eksperci wytknęli Grossowi. Wszystkie one dyskredytują go jako historyka, a jego prace jako poważne opracowania. Chyba jeszcze bardziej kompromituje go stosunek do merytorycznej krytyki. Otóż Gross nie polemizuje z niewygodnymi faktami. Generalnie, albo pomija je, albo stwierdza, że nie zmieniają one meritum sprawy, albo odpowiada insynuacjami pod adresem autorów.

Liczba ofiar w Jedwabnym na pierwszy rzut oka nie musi wpływać na ocenę owego mordu, natomiast dość jednoznacznie kwestionuje rzetelność autora, co sugerować powinno wątpliwości, co do innych jego ustaleń. Prace IPN-u dowiodły, że zamordowano tam około 300 osób, a nie 1600, które podał Gross. A jednak w kolejnych wydaniach Sąsiadów autor pozostawia bez zmiany i komentarza liczbę 1600 ofiar. Taki sam stosunek reprezentuje choćby do ustaleń historyków: Tomasza Strzembosza i Piotra Gontarczyka.

Analizując dokumenty ze śledztwa z roku 1949, które miały być fundamentem sądów Grossa, wykazali oni, że pominął on przeważającą liczbę zawartych w nich świadectw dowodzących sprawczej roli Niemców w jedwabieńskim mordzie oraz radykalnie zawyżył liczbę mieszkańców, którzy wzięli w nim udział. Gross odpowiedział, że analizy te: „nie zawierają niczego, co mogłoby zmienić ogólną tezę zawartą w książce Sąsiedzi, poszczególne ustalenia albo tok narracji.” Właściwie nie warto tego komentować.

Czasami w pojedynczych sprawach najbardziej jaskrawo widać nie tylko ideologiczne zaciętrzewienie, ale i instrumentalne traktowanie losów konkretnych ludzi, którzy Grossowi służą wyłącznie uzasadnieniu jego tez. Otóż jeden z jego antybohaterów, przedstawiony jako bestia w ludzkiej skórze, Czesław Laudański, w rzeczywistości nie tylko nie uczestniczył w masakrze – był wówczas obłożnie chory – ale, jak twierdzi jeden ze świadków, w czasie wojny pomagał Żydom. Gross podtrzymuje swoją wersję powołując się na nieistniejące zeznania

Laudańskiego, gdyż w tych którymi dysponujemy zaprzecza on swojemu uczestnictwu w masakrze i przytacza na to dowody.

Podobną, sławną już sprawą jest zdjęcie „polskich hien” mających według Grossa wygrzebywać drogie precjoza z cmentarzyska w Treblince, zamieszczone w jego ostatniej książce Złote żniwa. W rzeczywistości byli to ludzie zaangażowani do uporządkowania pozostałości po obozie śmierci. Gross nie przejął się udowodnieniem mu pomyłki. Ważne, że proceder istniał, twierdzi. A fakt, że pomówił konkretnych ludzi, którzy się na fotografii znaleźli, wyraźnie go nie przejmuje. Są oni dla niego, widocznie, wyłącznie reprezentantami polskiej zbiorowości, która czynów takich dokonywała.

W swojej poprzedniej książce, Strachu, mającej dowieść polskiego udziału w holocauście, zestawiając żydowskie ofiary, które padły z rąk Polaków, Gross odmawia analizy przyczyn tych śmierci. Żydzi dla niego to po prostu osoby pochodzenia żydowskiego. Tym samym komuniści czy członkowie sowieckiego aparatu represji pochodzenia żydowskiego zabici w walkach z polskim ruchem oporu pomimo tego, że ani za Żydów się nie uważali, ani nie z tego powodu zginęli, stają się w ujęciu Grossa ofiarami polskiego antysemityzmu.

Przytaczam te przykłady, aby pokazać, że Gross niebezpiecznie zbliża się do norymberskiego, „rasowego” podejścia do opisywanej historii. Ginęli lub rabowani byli Żydzi – czynów tych dokonywali Polacy. Identyfikacja dokonywana jest na zasadzie kryterium etnicznego. Gross i jego apologety w ten sposób wydają się załatwiać sprawę. Gdyby podobna książka napisana została o postawach Żydów wobec Polaków, w której głównym dowodem byłoby istnienie znaczącej grupy osób pochodzenia żydowskiego w dowództwie UB, słusznie oskarżona zostałaby o antysemityzm.

O tym, jak zachowywała się oficjalna reprezentacja Polaków czyli

państwo podziemne i rząd emigracyjny, od Grossa się nie dowiemy. Nie dowiemy się także, jak reagowali przedstawiciele innych nacji w podobnych okolicznościach. A wiedza ta powinna stanowić podstawę tego typu analiz. Nie po to, aby relatywizować zło, ale aby zrozumieć, ile z niego jest statystycznie (niestety) zwyczajną reakcją ludzką, a ile obciąża określoną wspólnotę.

Historia Grossa jest wymowna. Jego wcześniejsze, wartościowe prace na temat Polski w czasie II wojny światowej w tym również martyrologii polskiej pod okupacją sowiecką, jak „W czterdziestym nas matko na Sybir zesłali”, przechodziły w USA niezauważone. Zainteresowanie wzbudził dopiero Upiorną dekadą, która przyniosła rozbudowane później opinie na temat uczestnictwa Polaków w holocauście. Uznanie przynieśli mu Sąsiedzi.

Gross nie tylko nie odnosi się do krytyki. Tezy jego kolejnych książek ignorując fakty idą coraz dalej w „demaskacji” Polski i Polaków. I przynoszą mu kolejne sukcesy zarówno w Polsce, gdzie Adam Michnik zestawiał go z Adamem Mickiewiczem, Juliuszem Słowackim i Czesławem Miłoszem (tak, to nie żart), jak i na międzynarodowym forum.

Droga Grossa jest dowodem na to, co przynosi uznanie i zyski. Pisanie o jego „odwadze i bezkompromisowości” w tym kontekście brzmi więc jak ponury dowcip. Potwierdzenie antypolskiego stereotypu w Stanach Zjednoczonych okazuje się intratnym zajęciem. Przyczyny tego są złożone: to odwołanie się do wspomianej już pamięci wyrastającej z traumy holocaustu; to – być może także – odreagowanie kompleksu winy, prawdopodobnie funkcjonującego w podświadomości środowisk amerykańskich Żydów z powodu ich obojętności na to, co działo się z ich pobratymcami za oceanem, a który rozładowuje się naznaczając kozła ofiarnego (w tym wypadku Polaków); to także ponury „przemysł holocaustu”, na którym grupa bezwzględnych aferzystów usiłuje robić interes.

Przede wszystkim jednak to amunicja dla lewicowej ideologii, dla której atak na wojenną Polskę to uderzenie w katolicką, tradycyjną kulturę, co zresztą Gross robi bezpośrednio stwierdzając, że to katolicka tradycja doprowadziła Polaków do współudziału w holocauście. Wyabstrahowanie doświadczeń polskich bez odwołania się do podobnych, w krajach o zbliżonej historii, prowadzi do uznania tragicznych wydarzeń w naszym kraju za efekt szczególnych postaw jej mieszkańców, a więc za wielkie oskarżenie polskiej kultury.

Strategia III RP

Od momentu upadku komunizmu najbardziej opiniotwórcze środowiska III RP informowały nas, że fundamentalnym błędem jest zajmowanie się przeszłością, która, podobno, nie ma wpływu na teraźniejszość. Sztandarowym dla tej postawy było zwycięskie, wyborcze hasło kampanii prezydenckiej byłego aparaczyka PZPR, Aleksandra Kwaśniewskiego: „Wybierzmy przyszłość”.

Rozliczenie komunistycznej przeszłości musiałyby przynieść katastrofalne konsekwencje dla dawnych członków nomenklatury, którzy totalitarne rządy wymienili na dominację ekonomiczną, a środki w ten sposób uzyskane przekuli znowu na udział we władzy politycznej. Elita polska w całości ukształtowana w czasie PRL-u także odmówiła stawienia czoła swojej historii. Nawet ta jej część, która wcześniej zdążyła zbuntować się przeciw komunistycznym porządkom, a także wyrastająca z lewicowych środowisk część opozycji, która postawiła na sojusz z postkomunistami.

Jak się okazało jednak, odmowa rozliczenia przeszłości była częściowa. W rzeczywistości politycznej, jak w każdej innej, nie sposób funkcjonować bez odniesienia do historii. Tak więc jak nieważne w ujęciu opiniotwórczych ośrodków III RP miało być półwiecze

komunizmu, tak fundamentalne stawało się dwudziestolecie przedwojenne i to widziane wyłącznie przez pryzmat dominujących wtedy jakoby ksenofobii i nacjonalizmu, w ujęciu absolutnie ahistorycznym, bez tła, jakim była ówczesna Europa, gdzie zjawiska takie ujawniały się dużo brutalniej. Ze strony autorytetów III RP słyszeliśmy, że dla współczesnej Polski nie ma żadnego znaczenia bezpośrednia komunistyczna przeszłość, natomiast zasadnicze okazuje się doświadczenie endeckie, które podobno, spoza grobu, kształtuje dziś znaczącą część polskich postaw.

Polska tradycja narodowa miała być obciążeniem i obiektem wstydu, a pedagogika historyczna, którą nam aplikowano miała powodować kompleksy i chęć pozbycia się polskiej tożsamości stanowiącej podobno przeszkodę w naszej „europeizacji”.

Wszystkie te działania prowadzą do głębokiej reinterpretacji polskiej najnowszej historii. Bardzo pogładowy jest tu przykład marca 1968 roku, który przywołał zresztą Finkelkraut.

Kampania antysemicka, którą rozpętały wówczas władze PRL prowadzona była dokładnie według zasad klasycznych komunistycznych nagoniek. Należało naznaczyć kolektywnego wroga, odczłowieczyć go i zredukować do roli bariery w pochodzie postępu, która musi w ten lub inny sposób zostać usunięta. Takie kampanie organizowano wcześniej w Polsce przeciw AK, „obszarnikom” czy „kułakom”. Jedna, nie taka znów istotna w tym kontekście, różnica polegała na etnicznej, a nie klasowej identyfikacji ofiar. Ówczesna kampania spowodowana była częściowo wewnątrzpartyjnymi rozgrywkami, a częściowo moskiewskimi wytycznymi, które wiązały się z zmianą sowieckich sojuszy na Bliskim Wschodzie. Zmiany strategii moskiewskiej centrali zawsze wykorzystywane były do wewnętrznych porachunków w łonie PZPR.

Wszystkie komunistyczne kampanie stosowały z pewnym skutkiem

zasadę kozła ofiarnego. Wydawało się, że dysponent wszystkich oficjalnych kanałów informacyjnych dość łatwo powinien projektować agresję sfrustrowanego społeczeństwa na jego domniemych wrogów. Jeśli w Polsce tak żywe miałyby być nastroje antysemityczne, to efekty takiej kampanii powinny być piorunujące. A jednak historia nie odnotowuje w tamtym okresie żadnych spontanicznych wymierzonych w Żydów akcji. Nie znaczy to, oczywiście, że pewna liczba ludzi nie poddała się oficjalnym antysemitycznym nastrojom prowokowanym zmasowaną propagandą i że w iluś wypadkach nie zostały obudzone dawne fobie. Nie ma jednak żadnych podstaw, aby mówić o „polskiej kampanii antysemitycznej”.

Im więcej jednak czasu upływa tym bardziej, zwłaszcza za granicą, Marzec obciążać zaczyna nie komunistów, a po prostu Polaków. Finkelkraut oddał stan wiedzy Zachodu stwierdzając, że antysemityzm był ostatnim argumentem, dzięki któremu komuniści mogli uzyskać jeszcze poparcie Polaków. Ten absurdalny pomysł zupełnie rozmiągający się z realną genezą ówczesnych wydarzeń jest sufłowany zachodnim intelektualistom przez środowiska w Polsce (np. „Gazetę Wyborczą”), które jakoś nie chcą pamiętać, że gorliwym wykonawcą antysemitycznej czystki w wojsku był zaprzyjaźniony z nimi Wojciech Jaruzelski. Odpowiedzialność za kampanię 1968 roku ma zostać zdjęta z jej komunistycznych organizatorów i przeniesiona na Polaków jako takich.

W tego typu manipulacjach stara komunistyczna lewica podawała rękę nowej. Jeśli bowiem polska tradycja była aż taka zła, to odgórna, komunistyczna „rewolucja” zyskiwała jakieś usprawiedliwienie. Totalitarna ekspozytura sowiecka, jaką był PRL, w tej wykładni stawał się może brutalnym, ale reprezentującym określone racje eksperymentem społecznym. Dla nowej lewicy natomiast jest doskonałym uzasadnieniem jej haseł rozprawy z tradycją i ułatwia odwołanie do instytucji UE, które skwapliwie pośpieszą z pomocą w

walce z antysemitką ciemnogrodem.

Dla tych środowisk dęcie balonu polskiego antysemityzmu jest metodą idealną.

Hodowla antysemityzmu

Środowisko „Gazety Wyborczej”, które w początkach III RP kształtowało bez reszty intelektualny klimat kraju, od swojego powstania rozpoczęło walkę z polskim antysemityzmem: tropiło jego pozostałości i rozliczało z niego polską tradycję.

Na początku uznać można było, że to właściwe działanie w celu egzorcyzmowania demonów kryjących się w naszym dziedzictwie. Dość prędko jednak praktyka ta zaczęła nastroczać coraz więcej wątpliwości. Coraz bardziej przypomina stalinowską zasadę, zgodnie z którą wraz z postępami komunizmu narasta walka klasowa. Antysemityzm stawał się pałką, którą bez uzasadnienia można było okładać wrogów politycznych, a jednocześnie demistyfikować historię Polski.

Realny antysemityzm w III RP funkcjonował na marginesie marginesu życia publicznego, a nikt z polityków, którzy usiłowali się do niego odwołać nie zrobił kariery. Nie przeszkadzało to w coraz intensywniejszym jego tropieniu.

Kwintesencją tego podejścia był artykuł Sergiusza Kowalskiego z 2000 roku w „Gazecie Wyborczej” Idą idą krzyżąc Polska, w którym autor krytykę postmodernizmu i relatywizmu uznał za przejaw antysemityzmu (dosłownie!), a za jego przedstawicieli z tego właśnie powodu filozofa Ryszarda Legutkę i publicystę Cezarego Michalskiego. List otwarty, który pojawił się jako odpowiedź na ten artykuł, protestujący przeciw bezpodstawnemu obrażaniu w ten sposób

konkretnych osób, skomentował na łamach „Wyborczej” Lesław Maleszka. Wyjaśniał on, że publicyści prawicy legitymizują antysemityzm, nie podejmując z nimi walki, gdyż antysemita w Polsce występują pod prawicowym szyldem. Sygnatariusze listu winny zająć się więc tropieniem antysemitów w swoich szeregach zamiast obroną ludzi niesłusznie o antysemityzm pomówionych. Zgodnie z tym myśleniem prawicowe wybory polityczne (czy przypisanie do nich) niesie ze sobą antysemita podteksty. Tropiciele antysemityzmu w III RP traktowali to założenie ze śmiertelna powagą.

Drugą stroną tej samej kampanii była redukcja historii Polski do antysemityzmu.

Sztandarowymi przykładami takich działań był artykuł Michała Cichego opublikowany w „Gazecie Wyborczej” w 1993 roku, w rocznicę Powstania Warszawskiego o morderstwach, jakich na Żydach mieli dopuszczać się powstańcy, czy fundamentalne pytanie, wokół którego obracał się tekst Bożeny Umińskiej zamieszczony w „Res Publice Nowej” z 2000 roku, a brzmiące: Czy Stefan Żeromski sypałby gaz cyklon B w obozie?

W tej pierwszej publikacji zbrodnie przestępców oraz tragiczne wypadki obciążać miały AK, która jako instytucja nie tylko nie miała z nimi nic wspólnego, ale ścigała je jak tylko potrafiła, w drugim – niewłaściwy, zdaniem autorki – opis międzywojennej nędzy i obcości kulturowej grup Żydów w Przedwiośniu zrównywał nieomal Żeromskiego z nazistami.

Nb.: Michał Cichy jakiś czas po opublikowaniu artykułu wycofał się ze swoich oskarżeń i przeprosił za nie, nie chodzi jednak o jednostkowy incydent, ale o konsekwentną politykę redakcji i środowiska, która ten skrajny przykład dobrze obrazuje.

Owo obsesyjne szukanie antysemityzmu musi być przeciwnie skuteczne. Po pierwsze banalizuje zjawisko. Jeśli literacki opis kulturowej

odmienności, w którym, zdaniem Umińskiej, nie znajdujemy wystarczającej dozy empatii, zrównany zostaje z postawą nazistów, to nienawiść prowadząca do makabrycznej zbrodni zostaje oswojona. Jeśli krytyczny opis określonej żydowskiej społeczności staje się tożsamy z ludobójczymi postawami, to odbieramy grozę tym drugim i niszczymy tabu, jakim były otoczone.

Swoją drogą obraz malowany przez Żeromskiego wydaje się wręcz idylliczny w zestawieniu z przedstawieniem tych samych społeczności przez wielu polskich Żydów opisujących je w tym samym czasie niepomiernie bardziej agresywnie. Czy więc Umińska i jej zwolennicy Juliana Tuwima czy Antoniego Słonimskiego postawiliby również w nazistowskim szeregu czy uznają, znowu na norymberskiej zasadzie, że do nich stosują się inne kryteria?

Zacieranie fundamentalnej różnicy między poczuciem obcości, a nawet niechęcią a zbrodniczym antysemityzmem prowadzi do banalizacji tego drugiego.

Na rzecz pozbawiania antysemityzmu ciężaru działa jego polityczna instrumentalizacja, paradoksalnie czyniąc zeń mało znaczącą przywarę, albo wybór, który trudno wręcz wartościować – jeśli całą prawica zarażona jest tę przypadłością...

Dodatkowym elementem tego procesu jest zdeformowany i stronniczy obraz historii Polski, w którym centralnym motywem staje się antysemityzm. Polacy mają pełne prawo czuć się nim obrażeni. Jeśli na przykład heroiczny i szlachetny zryw, jakim było Powstanie Warszawskie, bezpodstawnie oskarżony zostaje o antysemickie zbrodnie, a tak wyczulony na krzywdę ludzką klasyk literatury polskiej jak Żeromski pomówiony zostaje o nienawiść rasową, to reakcją może być tylko odrzucenie i agresja. Takie działania siłą rzeczy muszą prowokować niechęć wobec tych, w stosunku do których Polacy zostali niesprawiedliwie oskarżeni i prowadzą do odradzania się

antysemityzmu.

Stronnicze książki Grossa nie zachęcają do rozliczenia, ale do obrony, która przeradza się w atak. Jeśli Polacy jako zbiorowość na zasadzie etnicznej mają być odpowiedzialni za wszystkich swoich przedstawicieli, to również na zasadzie etnicznej rozliczać zaczną swoich krytyków. Zaczną wyliczać liczbę ludzi pochodzenia żydowskiego w stalinowskim aparacie represji PRL-u i traktować ich jako przedstawicieli narodu. Powróci formuła żydokomuny.

Żydokomuna

Gross, ale także wielu ludzi dobrej woli oburza się na to określenie obecne w przedwojennej tradycji europejskiej i polskiej. Jego przyczyną był trudny do zakwestionowania fakt, że znaczącą grupę twórców komunizmu stanowili ludzie o żydowskich korzeniach. Pomysłodawcy określenia „żydokomuna” nie ograniczali się jednak do samego spostrzeżenia, ale w oparciu o nie budowali spiskową teorię, zgodnie z którą komunizm jest żydowskim instrumentem do opanowania świata. Ta wizja współegzystująca z uznaniem za autentyk spreparowanych przez carską Ochronę Protokołów mędrców Syjonu służyła jako uzasadnienie najskrajniejszych wersji antysemityzmu z nazistowską włącznie.

Aberracyjne interpretacje nie zmieniają jednak faktu nadreprezentacji ludzi pochodzenia żydowskiego w komunistycznym ruchu, faktu, który domagał się wyjaśnienia. Oczywiście, chodzi o proporcje w stosunkowo niewielkiej liczbowo partii komunistycznej w jej pierwszym okresie, gdyż jej członkowie pochodzenia żydowskiego stanowili niewielki odsetek całej ludności żydowskiej.

Można zacząć od konstatacji, że właściwie nie było Żydów-komunistów.

Akcesja do komunizmu musiała wiązać się z odejściem od żydowskiej tradycji, a więc i tożsamości. Ta bowiem budowana jest na kulturowej, a więc przede wszystkim religijnej podstawie. To nie Żydzi tworzyli komunizm, ale ludzie pochodzenia żydowskiego, którzy odrzucali swoją tożsamość. Ludzie pragnący odzegnać się od wspólnoty poszukiwali ideologii, która pozwoliłaby im przekroczyć mocne w wypadku Żydów, narodowo-kulturowe identyfikacje. Komunizm był do tego idealnym instrumentem. Afiliacja do niego musiała wiązać się z odrzuceniem samego rdzenia tożsamości żydowskiej. Judaizm jako esencja wsteczności dla marksistów był wręcz wstrętny. Wystarczy przytoczyć klasyczną dla tego podejścia pracę Karola Marksa W kwestii żydowskiej, mogącą stanowić podręcznik antysemicki.

Znamienne, że w Rosji Sowieckiej równoległe z rozprawą z Cerkwią na początku lat 20., dokonywano rozprawy z religią żydowską: palono synagogi lub, tak jak cerkwie, przerabiano je na „domy ateizmu”; mordowano i zsyłano rabinów. W akcji tej czynnie uczestniczył Bund czyli socjaliści żydowscy, z którymi tylko nieco później rozprawiło się państwo sowieckie.

Jeśli więc komunizm z żydowską tradycją i tożsamością miał niewiele wspólnego, to w sensie socjologicznym z Żydami musiał być kojarzony. Swoją drogą fenomen ten nie został należycie opisany. Jedną z ciekawszych prac na ten temat jest książka Yuri Slezkina Żydowski wiek.

Niedostatek analiz tego fenomenu wiąże się z tabu wyrastającym z holocaustu. Jeśli formuła żydokomuny była jednym z jego usprawiedliwień, to strasznie trudno było rzeczowo podejść do zjawiska, który był pretekstem do niego, niezwykle trudno uniknąć oskarżeń o antysemityzm ze strony – w zrozumiwały sposób – przeczulonej w tej sprawie społeczności żydowskiej. Nie usprawiedliwia to ideologicznego nań zamykania oczu, jak to robi choćby Gross, dla

którego jest to wyłącznie antysemicki stereotyp.

Nadrepresztacja Żydów w nowych, komunistycznych władzach była dla miejscowej, polskiej ludności faktem oczywistym. Zwykli ludzie nie zajmują się analizą postaw partyjnych aktywistów wobec własnej tradycji i tożsamości. Człowiek pochodzenia żydowskiego – tak jak dla Grossa – był dla nich Żydem. A udział tak postrzeganych Żydów w sowieckiej agresji musiał prowokować konflikty. Nie można usprawiedliwiać tym zbrodni czy choćby krzywd, ale pokazanie tych zjawisk jest niezbędne, jeśli chcemy analizować fenomen nowego antysemityzmu.

Okazuje się zresztą, że zjawiska te mają swoje konsekwencje również dziś. Dzieci „żydowskich” budowniczych komunizmu zbuntowały się przeciw niemu. Zwycięstwo partyjnych konkurentów ich rodziców, czego ukoronowaniem był marzec 1968, miał na to z pewnością wpływ. Byłoby jednak niesprawiedliwym uproszczeniem sprowadzić ową postawę do resentymentu związanego z utratą władzy. Bunt nastąpił znacznie wcześniej. Przełomem był rok 1956, który odsłonił krach i rewers komunistycznej utopii. Nie sposób było dłużej się oszukiwać. Komunistyczni ideowcy w większości zaczęli odchodzić od systemu.

Nie miejsce tu, aby analizować ten proces, w każdym razie zwłaszcza pokolenie potomków tzw. „żydokomuny” miało swoje niekwestionowane zasługi w walce o polską wolność i demokrację. Środowisko komandosów marcowych, w którym postacią dominującą był Michnik, stanowiło istotną część KOR-u, który był najważniejszą inicjatywą opozycji przedsolidarnościowej.

Wszystko to uległo zmianie w momencie upadku komunizmu. Michnik wraz ze swoim środowiskiem, które dostało pierwszy oficjalny, niezależny dziennik, „Gazetę Wyborczą”, dokonał zmiany sojuszy.

Naczelny „Wyborczej” formułował to wprost. Już w październiku 1989 roku pojawia się w „Wyborczej” jego artykuł zatytułowany Jakiej Polski pragniemy. Autor stwierdza w nim, że dawne podziały na komunistów i antykomunistów skończyły się, a otwierają się nowe, które przeciwstawiają zwolenników Polski otwartej rzecznikom Polski zakompleksionej i zaściankowej. Naczelny „Wyborczej” i jego zwolennicy mówili o tym, a ich postawa dopełniała w sposób jednoznaczny ich deklaracje, że polska tradycja ma dla nich charakter archaiczny, narodowo-katolicki w endeckim wydaniu, a Polacy cechują się ksenofobicznym, antysemickim nastawieniem. Należy więc ich „modernizować”, a więc dokonać procesu „transformacji” niejako ponad ich głowami. Sojusz ze „światłą częścią” PZPR miał bronić przed prawicowym, a więc, jak uznawała dominująca grupa stołecznych inteligentów, czarnosecinnym zagrożeniem. Dawna opozycja i dawna komunistyczna nomenklatura zdumiewająco podobnie oceniały polskie społeczeństwo, co otwierało perspektywę trwałego związku.

Naturalnie, wybór ten miał polityczne motywy. Postkomuniści skazani na rolę wasalną – tak myśleli wtedy w Polsce prawie wszyscy włącznie z nimi samymi – wydawali się dogodnym koalicjantem przeciw odradzającej się prawicy. Tylko, że Michnik i jego środowisko rzeczywiście obawiali się narodu polskiego. Można uznać, że polityk (nie tylko zresztą) łatwo wierzyć zaczyna w lęki, którymi się posługuje. W tym wypadku jednak od początku wydają się one również wyrastać ze środowiskowych uwarunkowań.

Dawni komuniści albo musieli stawić czoła złu, które uczynili, albo zrelatywizować je przyznając jakieś racje „modernizacyjnej” interpretacji PRL-u. Im bardziej dezawuowana była polska tradycja, im bardziej zredukowana do ksenofobii i antysemityzmu, tym mniejsza była wina komunistów. Wybór takiego właśnie, relatywizującego zło PRL-u

opisu (jak się to dziś mówi: narracji) dokonany przez środowisko wyrastające z umownie mówiąc danego KPP, przyjęty został przez ogół elit, które w Polsce zbudowane zostały w czasie trwania PRL-u, a więc niosą na sobie grzech pierworodny powołania z komunistycznego nadania. Geneza ta nie musiałaby prowadzić do takich konsekwencji czyli określonych politycznych wyborów, ale akurat w III RP stała się faktem. Szeroko rozumiane środowisko „Gazety Wyborczej” potrafiło narzucić ton zdeintegrowanej inteligencji. Wspomagała ich w tym potęga dawnego komunistycznego aparatu, który w nowej rzeczywistości nadal zachował zasadnicze wpływy, w ogromnej mierze przejął prywatny biznes i zdominował najbardziej znaczące środowiska. Wersja Polski jako ciemnogrodu była z jego perspektywy wręcz idealna.

To, co piszę stanowi do pewnego stopnia tabu w III RP. Właściwie poza realnymi antysemitami, którzy z lubością postawy polityczne uzasadniają etnicznym pochodzeniem (faktem, że komunizm w naszym kraju od 1956 obsługiwany był wyłącznie przez „czystych rasowo” Polaków, się nie zajmują), nikt nie dokonuje analiz dość zwartego środowiska wyrastającego z dawnych komunistów, głównie żydowskiego pochodzenia. Uwaga Jarosława Kaczyńskiego odwołująca się do specyficznej ciągłości „modernizatorów”, którzy chcą nas europeizować odrzucając narodową tradycję, od KPP po „Wyborczą”, wywołała burzę. W pełni uzasadnione stwierdzenie poety, Jarosława Marka Rymkiewicza, że środowisko „Wyborczej” w kwestii narodowej jest kontynuatorem myśli Róży Luksemburg spowodowało pociągnięcie go do odpowiedzialności sądowej.

A można stwierdzić, że ciągłość ta jest uderzająca i oczywista, choć niekonieczna, co demonstrują pojedyncze przykłady dysydentów.

Z pełną odpowiedzialnością powiedzieć można, że to szeroko rozumiane środowisko „Gazety Wyborczej” uniemożliwiło rozliczenie się Polakom z własną historią, w tym z realnym antysemityzmem. Co więcej, ponosi ono odpowiedzialność za odradzanie się tego zjawiska.

Przemysł walki z antysemityzmem

O ile można było żywić teoretyczne obawy przed odrodzeniem się polskiego nacjonalizmu w momencie upadku komunizmu, to już następne lata sfalsyfikowały te obawy. Zagrożeniem Polaków nie były gwałtowne namiętności, ale w apatia, którą nowo-stare elity usiłowały za wszelką cenę podtrzymać i pogłębić. Modelować przecież najłatwiej bierne społeczeństwo. Jedną z metod wywoływania takiego stanu było zawstydzanie Polaków, wmawianie im ich gorszości, czego dokonuje się głównie przez kompromitację (demistyfikację, demitologizację, dekonstrukcję itp.) ich historii. Działania te przyniosły skutek, o czym świadczy wyjątkowo niska samoocena Polaków (pokazują to wszystkie badania), unikalna na tle Europy, dużo gorsza niż ocena naszego narodu dokonywana przez innych Europejczyków.

Nie zmieniło to w niczym praktyki naszych opiniotwórczych środowisk, które nadal prowadzą i intensyfikują wojnę z polską (nieistniejącą) megalomanią.

W nowych warunkach pojawił się nowy, potężny sojusznik dla ideologii modernizacji przez imitację, jak nazwał ją Zdzisław Krasnodębski. To dominujące w Europie (a niezwykle wpływowe na całym świecie) środowiska lewicowe, które ciężar swojej aktywności przeniosły na szeroko rozumianą kulturę.

Polska nie przeszła jeszcze kontrkulturowej rewolucji, która zmieniała oblicze Europy w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Największą przeszkodą jest dla niej narodowa tradycja. Z perspektywy rzeźników

owej rewolucji należy więc skompromitować i zniszczyć polskie wzorce i modele, aby nic już nie stało na przeszkodzie do upodobnienia naszego kraju do zachodniej części kontynentu, należy doprowadzić do anihilacji narodowej specyfiki Polski. To, co różni nasz kraj od tamtych, to brak silnego państwa i jego tradycji, które stanowi barierę dla dezintegracji tamtejszych społeczeństw. Ostatnio można zresztą zauważyć, że nawet ta tradycja przestaje funkcjonować i pełnić integracyjną rolę. W każdym razie Polska po rewolucji kulturalnej, wydziedziczona z tradycji, z Kościołem pozbawionym autorytetu, stanowiła będzie miazgę.

Instytucje UE robią, co mogą, aby zaaplikować Polsce taką lewicową kurację. Wspomagają wszelkie działania piętnujące naszą tożsamość oficjalnie pod kątem walki z ksenofobią, rasizmem, patriarchalizmem, antysemityzmem. Wszystkie te demony postępowego piekła upakowane zostają w jednym kompleksie polskiej, tradycyjnej, patriarchalnej kultury.

Opłacane sownie i premiiowane za walkę z nimi instytucje i postacie, po każdym kolejnym sukcesie i porcji gotówki będą szukały ich przejawów z coraz większą gorliwością. Fakt, że szczute w ten sposób społeczeństwo zareaguje wreszcie agresywnie nie tylko nie przeraża ich, ale wręcz cieszy. Będzie to uzasadnieniem dla kolejnych etatów, stanowisk, honorów i premii.

Walka z polską tradycją przysparza także międzynarodowych sukcesów. Przykład Grossa, który powinien zostać odrzucony z powodu nie trzymania się żadnych naukowych standardów, a robi wielką karierę, jest tego dowodem. Dotyczy to zresztą również innych zjawisk kultury. Na rynku międzynarodowym (i krajowym) karierę robią ci, którzy rozliczają się z polską tradycją i piętnują polską tożsamość. Znamy zresztą wiele przykładów twórców, którzy po latach czyśca, gdy wreszcie podporządkowali się obowiązującemu tonowi i zdecydowali

się płynąć w nurcie „demaskacji” błyskawicznie zostali wynagrodzeni i docenieni.

Działania takie zasadniczo podważają reputację naszego kraju i stają się długofalowym, istotnym czynnikiem jego politycznej deprecjacji. Jest to jednak ostatni przedmiot zainteresowania „bojowników z antysemityzmem”. Nie przejmują się tym, tak jak i jakimkolwiek długofalowymi konsekwencjami swoich przedsięwzięć. Im opłacają się one z pewnością.

Bronisław Wildstein

Tekst ukazał się w 101 numerze dwumiesięcznika "Arcana"

Przeczytaj także:



Agnieszka Kołakowska: Nick Cohen, Jak lewica zwróciła się przeciwko Żydom



Agnieszka Kołakowska: Troskliwa lewica

